

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

**DZIEWICE
KONSYSTORSKIE**

Tadeusz Boy-Żeleński

Dziewice konsystorskie

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23527842

Dziewice konsystorskie:

Аннотация

Dziewice konsystorskie to zbiór felietonów Tadeusza Boya-Żeleńskiego, publikowanych w „Kurierze Porannym”, a opublikowany jako całość w 1929 roku. Publicysta zajmuje się tym razem kwestią anulowania małżeństwa – problemami wynikającymi z niemożliwości zawarcia ślubu innego niż kościelny, z czym wiąże się niemożliwość otrzymania rozwodu. Boy-Żeleński zwraca uwagę na niedostosowanie prawa do realiów, obłudę w postępowaniu wielu księży, a także występuje jako obrońca praw kobiet, które najczęściej cierpią w efekcie zawarcia nieudanych małżeństw. Wyśmiewa również watykańską biurokrację i jej słabości – możliwość uzyskania w konsyсторzu zaświadczenia o dziewictwie (nawet w wypadku matek) przykładowo po odpowiedniej zapłacie.

Содержание

Od Autora	5
Biedne prababki	13
Конец ознакомительного фрагмента.	19

Tadeusz Boy-Żeleński

Dziewice konsystorskie

Tadeusz Boy-Żeleński – na stronie tytułowej jako autor figuruje: Boy-Mędrzec (zob. T. Boy-Żeleński, *W Sorbonie i gdzie indziej*, rozdział *Zakończenie*). [przypis edytorski]

Od Autora

Oto garść felietonów drukowanych w „Kurierze Porannym”. Felietony te narobiły hałasu; zyskały mi sporo wyrazów sympatii i nie mniej oburzeń. Wiele osób dopatrywało się w nich głębokiej intencji; chciało w nich widzieć celowe posunięcie, inspirowane – oczywiście – przez „masonów”. Mój Boże! kiedy się wie, jak coś było naprawdę, a potem słyszy osnute dokoła faktu komentarze, mimo woli człowiek musi się uśmiechnąć i zadumać nad kruchością „wiedzy historycznej”. Powiem tedy całkiem po prostu, jak powstały te felietony. Na chwilę nim zacząłem je pisać, byłem, można powiedzieć, o sto mil od ich tematu; nie wiedziałem ani o wiszącym procesie wileńskim ks. Jastrzębskiego, ani o toku prac Komisji Kodyfikacyjnej w tej mierze; wszystko to po prostu nie istniało dla mnie. Pograżony byłem całkiem w czym innym, w rzeczach czysto literackich. Ale, z obowiązku recenzenta, poszedłem na rosyjską sztukę Katajewa, do teatru *Ateneum* przy Związku Kolejarzy. Szedłem z zaciekawieniem; raz dlatego, że z sympatią śledzę losy tego młodego teatru, świadczącego o żywotności kulturalnej naszego ruchu robotniczego, a po wtóre przez wzgląd na pochodzenie sztuki:

Zważmy (pisałem na wstępie do mojej recenzji), że Rosja sowiecka jest na olbrzymią skalę podjętym eksperymentem, próbą zmazania jednym zamachem

tradycji, kultury, narowów¹ myślowych, wszystkiego, aby wprowadzić formy odpowiadające jakoby potrzebom dzisiejszym i powszechnym. Jak wygląda ten eksperyment, jakie są jego wyniki, nie na papierze, ani w sferze doktryny czy ideału, ale w codziennym życiu – oto rzecz, która musi interesować wszystkich. Otóż o tym najtrudniej się dowiedzieć. Bo skąd? Nie z gazet, bo gazety są po to, aby nas obełgiwać. Nie z wrażeń podróży, bo te zawisłe są od uprzedzeń podróżnika, od jego zmysłu orientacji, od tego wreszcie, co mu zechcą pokazać. Życia, zwykłego życia on nie zobaczy. Może tedy teatr, nie propagandowy, ale domowy, pisany dla siebie, ukazałby nam trochę tej rzeczywistości?

Sztuka osnuta jest dokoła spraw małżeńskich. Dwie „zarejestrowane” pary okazują się niedobrane; sympatie czworga młodych – zamieszkałych w jednym pokoju – ciągną ku sobie na krzyż:

Mimo że sytuacja jest jasna już z początkiem drugiego aktu, autor prowadzi ją przez szereg zawikłań, aż wreszcie brodaty komisarz rozcina sprawę, kojarząc na krzyż kochające się pary i mówiąc dobrodusznie: „No, kochajcie się, i starajcie się nie robić głupstw... przynajmniej przez jakiś czas: od tego republika sowiecka nie zginie”.

...Mimo woli zastanawiamy się, jakby podobna sytuacja wyglądała u nas. Dawniej, byłaby w ogóle bez wyjścia. Gdyby miłość była serio, może by sobie ktoś w łeb strzelił,

¹ narów – tu: zły nawyk. [przypis edytorski]

albo by się utopił, w najlepszym razie byłoby czworo osób nieszczęśliwych.

A dziś? Dziś rozwiązanie jest u nas trojaki. Jeżeli małżonkowie nie mają pieniędzy, wówczas w ogóle są poza prawem, nie mają u nas prawa do niczego. Nie ma dla nich żadnego godziwego rozwiązania sytuacji.

Jeżeli mają pieniądze na opłacenie adwokatów i kosztów, mogą, przy zmianie religii, przeprowadzić rozwody i „zarejestrować” się na nowo.

Jeżeli mają dużo pieniędzy, w takim razie mogą sobie oszczędzić zmiany religii. Wówczas, przy pomocy paru fałszywych świadków i fałszywych zeznań, popartych w potrzebie krzywoprzysięstwem za cichą zgodą organizatorów tej komedyjki, mogą po kilku latach mozołów uzyskać szczęśliwe unieważnienie małżeństwa.

Nie sądzę zatem, abyśmy pod tym względem mieli prawo tak bardzo wynosić się nad zdziczenie Bolszewii. W żadnym z naszych obyczajów nie występuje tak ostro nierówność wobec prawa zależna od stanu majątkowego; nigdzie nie jest jaskrawsze publiczne igranie z rzeczami uchodzącymi za święte.

Ale, z drugiej strony, nie bądźmy zbyt pochopni w uznaniu dla stosunków sowieckich... Na to eksperyment jest za świeży. Jeszcze ani jedno pokolenie nie zestarzało się w tych formach. Te dwie pary młodych ludzi, to jeszcze żaden przykład. Trzeba by ich widzieć na dłuższej przestrzeni czasu, trzeba wiedzieć zwłaszcza, co się dzieje z kobietą po kilkunastu latach takich „rejestracji”. Boć, ostatecznie, rygory prawa małżeńskiego są w znacznej

mierze nie czym innym, tylko ochroną dziecka i ochroną kobiety. O tym ta *Kwadratura koła* nic nam nie mówi.

...Jak się przedstawiać będzie to życie, gdy minie młodość, która wszędzie i zawsze żyje dość po bolszewicku? Czym żyć w tej niezamiecionej brudnej izbie, do której, na pociechę, radio przynosi melodie tanga z Berlina? Czy powtarzaniem strzępów nieprzetrawionej socjologii, z której sam autor sobie podrwiwa? Bądź co bądź, jedną z zalet osławionego kapitalizmu jest to, że pozostawia bodaj możliwość, bodaj złudzenie tworzenia swego osobistego życia... Czym będą żyć ci ludzie później, nie bardzo widzimy. No, i trudno nam zapomnieć o innych zatrudnieniach tego komisarza, poza błogosławieniem parotygodniowych małżeństw.

Mimo iż w ramach recenzji teatralnej² nie uważałem za potrzebne strzelać ciężkimi armatami do mariażów bolszewickich, nikt mnie chyba nie posądzi, abym je uważał za rozwiązanie kwestii. Ale równocześnie, naturalnym refleksem, myśl moja zwróciła się ku temu w czym *my* żyjemy, jak się u *nas* przedstawiają te sprawy. Uczułem wyraźnie, że coś tu jest absolutnie nie w porządku. Listy, które zacząłem otrzymywać, utwierdziły mnie w tym przekonaniu. Takie jest istotne pochodzenie moich felietonów, które są niejako obszerną „niedyskrecją teatralną” na marginesie premiery w Domu

² *Mimo iż w ramach recenzji teatralnej nie uważałem za potrzebne strzelać ciężkimi armatami do mariażów bolszewickich – Flirt z Melpomeną, Wieczór ósmy.* [przypis autorski]

Kolejarzy.

Polemizując ze mną, przeciwnicy uczynili mnie jakimś namiętnym propagatorem rozwodów. Zupełnie niesłusznie. Życzę ludziom, aby jak najmniej potrzebowali się uciekać do tego środka. Co innego jest propagować coś, a co innego widzieć, że coś jest faktem, że coś się dzieje i *jak się dzieje*; widzieć nierówność, widzieć krzywdę, widzieć nieszczęście, widzieć fałsz, nieuczciwość, widzieć bezduszość, zaciekłość i ślepotę tych, którzy powinni mieć „oczy ku patrzeniu i uszy ku słyszeniu”. Mówić o tym – w potrzebie nawet krzyczeć – jest obowiązkiem pisarza. Bo literatura jest sejmem narodu; ważniejszym może od tego, który tam w zacisznym półkolu wymyśla sobie wzajem przy ulicy Wiejskiej. Przez nią uświadamiają się potrzeby i zjawiska chwili; przez nią przychodzą do głosu żądania i krzywdy ludzkie. Pisarz, który by wciąż nie przykładął ucha do ziemi, aby wyczuwać jej tajemne drżenie, aby nadśłuchiwać tętentu przyszłości, źle spełniałby swoje zadanie. I nie powinien w żadnym wypadku liczyć się z głosami oburzeń – choćby skądinąd szanownymi – nawet kiedy chodzi o tak zwaną *moralność*, o tak zwany *porządek społeczny*. Popatrzmy na historię instytucji i wierzeń ludzkich. Trzeba by chyba być ślepym lub kłamcą, aby nie uznać, że porządek społeczny, że „moralność”, to coś, co zmienia się i musi zmieniać ciągle; coś, co przechodzi ciągłą ewolucję. Dzisiejszy bunt jest jutrzejszym prawem; dzisiejsze bluźnierstwo jutrzejszym komunałem. W imię porządku społecznego palono

na stosie ludzi, których dziś wysyła się jako media na kongresy metapsychiczne. Mordowano się w imię Boga o wierzenia, które zgodnie dziś żyją obok siebie. Był czas, gdy torturowano obwinionych, aby wydobyć z nich zeznania. Był czas, gdy trzymano obłąkanych w lochu i w kajdanach. Był czas więzienia za długi, kiedy niewypłacalnego dłużnika więziono dożywotnio i żywiono na koszt państwa. Wszystko to, i wiele innych równie pięknych rzeczy było *porządkiem społecznym*; ktokolwiek przeciw nim działał, był wrogiem porządku społecznego. Czy wyobraża kto sobie, że wiele z dzisiejszych „porządków” nie będzie się przedstawiać naszym wnukom tak samo, jak nam tamte dziwolągi; że nie będą się nam dziwili, że nie będą się litowali nad nami? Powiada Goethe w *Fauście*:

Es erben sich Gesetz und Rechte
Wie eine ew'ge Krankheit fort!

Ciągła wojna z przeżytkami wczorajszych pojęć, wczorajszych potrzeb, wczorajszych obyczajów, to najważniejsze pozycje walki o szczęście ludzkości. W tej walce pisarze zawsze szli na czele; oni są przyrodzonym instrumentem wyczuwania jutra, wyczuwania okrucieństwa czy komizmu konfliktów między upartym i tępym *Wczoraj* a domagającym się życia *Dziś*. I można powiedzieć, że najpiękniejszym tytułem pisarza jest jego nieporozumienie z porządkiem społecznym. Mnie osobiście, jeżeli zdarza się mieć kiedy wyrzut sumienia, to

że zanadto bywam z nim pogodzony...

A jakiej broni wolno używać pisarzowi w tej walce? Takiej, jaką mu jego temperament, jego rodzaj talentu wskazuje. Kiedyś półzartem złożyłem moje credo, odpowiadając na jakiś atak hipokryzji: „Igrać z najbardziej uświęconymi pojęciami, z najbardziej czcigodnymi uczuciami, próbować ich siły i szczerości, rozkładać je odczynnikami śmiechu, prowokować obłudne oburzenia, demaskujące dyskusje, wpuszczać powietrze, ośmielać do myślenia, iżby, pośród walących się bałwanów, zostało to, co naprawdę jest szanowne, oto zadanie, które chciałbym spełniać wedle sił moich”.

Mógłbym się tu powołać na iluż i jakże wielkich poprzedników... Ale, mój Boże, po co przyzywać nadaremno zbyt wielkie imiona! Nie jestem tak naiwny, aby porównywać te nasze lokalne utarczki z ich bohaterskimi walkami o przyszłość ludzkości. To wszystko, o czym my tu mówimy, to jest wybijanie dawno otwartych drzwi; to są walki o rzeczy dawno w świecie załatwione. Ale cóż; każdy żyje u siebie; cóż nam z tego, że te rzeczy są załatwione *gdzie indziej*, jeśli nie są załatwione *u nas*; co nam z tego, choćbyśmy ideowo uporali się z nimi dawno, jeżeli w praktyce ludzie od nich cierpią, duszą się i giną... I nie tylko ludzie, ale uczciwość, ale moralność: ta prawdziwa, wieczna, a nie ta, którą handlują w swoich kramikach dzierzawcy jej monopolu. Nie zapominajmy, że nawet Chrystus wypędził przekupniów ze świątyni. I trzeba to powiedzieć: przemoc Świętoszka w odrodzonej Polsce zaczyna być zastraszająca.

Bardzo być może, że ta walka o praworządność, o uczciwość, o *dzisiejszość* w jednej dziedzinie, jest tylko epizodem wielkiej rozgrywki, która nas czeka na progu nowego naszego życia. Któż wie zresztą, co nas czeka? Życie gna dziś tak zawrotnym pędem...

Biedne prababki

Przepraszam, że będę mówił o rzeczach bardzo banalnych; ale niedole życia wynikają głównie z rzeczy banalnych źle załatwionych; z rzeczy, o których się nie mówi. Będę więc mówił naiwnie, tak jakbym odkrywał Amerykę. Mam zresztą pewien barometr żywotności dla kwestii, które zdarzy mi się potrącić; mianowicie listy nieznanym czytelników. Otóż kiedy przypadkowo poruszyłem, z okazji rosyjskiej premiery (*Kwadratura koła*), sprawę małżeństwa i rozwodów, z oddźwięku, jaki znalazłem u czytelników, zrozumiałem, jak piekącej dotknąłem bolączki. Może więc warto powiedzieć o tych rzeczach kilka słów mniej wzniosłych a bardziej prawdziwych, niż się mówi zazwyczaj.

W jednym z listów, jakie dostałem, uderzył mnie pewien rys – też zapewne banalny, ale który mnie zainteresował. Chodzi o normalny prawie tok kościelnego unieważniania małżeństw za pomocą fałszywych świadectw i krzywoprzysięstwa. „Co do tych krzywoprzysięstw (pisze mi ktoś z kresów), to mówił mi jeden adwokat, iż nawet jest tak utarte, że świadek krzywoprzysięga, a później tenże ksiądz spowiada go i rozgrzesza, nakazując przy tym odpowiednie zadośćuczynienie, tj. pokutę...”

Istotnie, kombinacja, o której sam Pascal nie pomyślał w swoich *Prowincjałkach*. Ale nie przypuszczam, aby to było tak powszechne. Zazwyczaj – przy wielkim aparacie – rzecz odbywa

się delikatniej: świadka naprowadza się na to, co potrzeba, aby zaprzysiągł; kto inny konferuje ze świadkiem, kto inny odbiera przysięgę, może więc ją przyjąć z dobrą wiarą lub przynajmniej nie wchodząc w to bliżej; od kogo innego świadek dostaje pieniądze (o ile nie świadczy z przyjaźni lub z ludzkiego współczucia), sprawę zaś zbawienia duszy świadka zostawia się zwykle jego własnej trosce. Jeżeli chce, może się wypowiadać; grzech się zmaże, a rozwód został.

Umyślnie mówię „rozwód”; mimo iż wiadomo, że rozwodu w Kościele katolickim nie ma, głos ludu nigdy inaczej nie mówi tylko „rozwód”. I w rezultacie, ma rację. Po prostu, skoro w małżeństwie jest żądanie rozwodu, szuka się nieformalności celem unieważnienia małżeństwa; nie kijem, to pałką, dla pacjenta wszystko jedno, jak się nazywa. Różnica jest ta, że gdy *rozwód* jest w zasadzie rzeczą rzetelną i poważną, *unieważnienie* bywa najczęściej dość gorszącą komedyjką.

Znałem blisko pewnego kanonika-filozofa, który mawiał, że najlepiej już przy ślubie dać w łapę zakrystianowi, aby popełnił jaką nieformalność, zapalił o jedną świeczkę mniej niż trzeba, czy coś podobnego, a w potrzebie można mieć za to unieważnienie małżeństwa. Tenże kanonik mawiał, iż akta takich spraw mają to do siebie, że każda kartka powinna być przekładana grubym banknotem.

Ach, gdyby tak móc zajrzeć do tych aktów, co za cuda by się tam znalazło, co za materiał dla komediopisarza. Na przykład świadectwa lekarskie niezdolności „skonsumowania”

małżeństwa, wystawiane kobietom, które żyły parę lat z mężem i miały kilku zdrowych kochanków. Bo każdy, kto się w jakikolwiek sposób zetknie ze sprawą „unieważnienia”, musi kłamać.

Jak w tyłu sprawach obyczajowych, tak i tu wojna stała się przełomem. Zamęt, jaki nastąpił w stosunkach ludzkich przez masowe rozłączenia, przez zmianę warunków, pojęć, nastrojów, wymagał regulowania tych spraw również niemal masowego. Znalaziono jedyne wyjście w gromadnych zmianach religii. To, co dawniej było wyjątkiem, stało się rzeczą potoczną; nikt się nie wahał. Wśród kłopotów i trudności, jakie pociągała sprawa rozwodowa, zmiana religii odgrywała najmniejszą rolę: symptom niewątpliwie poważny! Wędrowka ta od jednej religii do drugiej była tak powszechna, że ambitni pastory protestanccy – nie chcąc widzieć, że owieczki, które im przybywają niespodziewanie, mogą być już w drugim pokoleniu wcale rzetelną zdobyczą – uważali sobie za ujmę pomnażanie reformowanego kościoła takim materiałem i branie udziału w komedii „nawrócenia”; trzeba było wyszukiwać gminy, gdzie pastor był pobłażliwszy na tym punkcie. Wyrobiły się specjalne miejscowości, okręgi, znane z tego, że tam można się wślizgnąć na łono kościoła reformowanego.

Chaos, jaki to wytwarza w pojęciach religijnych, jest znaczny, zwłaszcza u kobiet. Przytoczę jeden przykład. Jedna z takich rozwodniczek, aktorka, musiała przejść na protestantyzm dla uzyskania rozwodu. Przed tak ważnym aktem poszła oczywiście

do kościoła i splotała się. Później musiała chodzić na nauki pastora; wreszcie przyszedł uroczysty dzień zmiany wyznania. Pastor mówił tak pięknie, tak podniosłe, że wrażliwa artystka znowu się splotała. Jeszcze z wilgotnymi oczyma spotyka znajomego na ulicy; opowiada mu swoją przygodę. „No i cóż, teraz już pani nie będzie chodziła do dawnego kościoła, tylko do *ich* kościoła? – Ależ nie, odpowiada, przeproszę Matkę Boską i będę chodziła po dawnemu”.

Niewątpliwie, wołę takie pomieszanie pojęć od ich dawnej precyzji, która sprawiała, że ludzie wzajem palili się na stosach; ale z punktu widzenia religii – jakiegokolwiek – nie może to być pożądane. Najuroczystsze akty życia stają się formalistyką i komedią, boć i rola kapłana, który w niej bierze udział, bywa dość dziwna...

Rzecz prosta, że Kościół katolicki nie mógł patrzeć obojętnie na te objawy; zrozumiał, że niepodobna stać na dawnym nieprzejednanym stanowisku. Nowa – mimowolna – ofensywa protestantyzmu na Polskę mogła się stać groźniejsza od owej z czasów reformacji... Dla zatrzymania uciekających, rozszerzono znakomicie możliwość katolickiego rozwodu, czyli nieważnienia małżeństwa. Już nie w dalekim i luksusowym Rzymie, ale na miejscu toczą się procesy, liczba ich mnoży się, jest tendencja, aby raczej ułatwiać niż utrudniać. (Z największymi trudnościami spotyka się arystokracja, ponieważ wiadomo jest, że, przez cześć dla tradycji, zmienia wiarę jedynie w ostateczności, więc można ją pocisnąć bez obawy.)

Już nie czysto formalne motywy, jak np. nieprawidłowość w ogłoszeniu zapowiedzi, etc., ale przyczyny natury bardziej ludzkiej zaczynają wchodzić w grę. Rozmawiałem kiedyś z poważnym adwokatem z Poznańskiego; ze zdziwieniem dowiedziałem się, jak daleko się to posunęło; na przykład stwierdzenie, że małżeństwo zostało zawarte bez miłości, może wystarczyć do kościelnego unieważnienia. Jeżeli na przykład znajdzie się list, w którym panna pisała do swej przyjaciółki coś w tym rodzaju: „Droga Maniu, wychodzę za mąż; nie mogę powiedzieć, bym kochała mego przyszłego, ale rodzice namawiają mnie, abym za niego wyszła, że to dobra partia, porządny człowiek” etc... wówczas przedstawienie takiego listu może być punktem do unieważnienia małżeństwa, choćby były dzieci. Słowem, klasyczne „małżeństwo z rozsądku”, z posłuszeństwa, jest – nieważne, i może być w każdej chwili kościelnie unieważnione!... To istna rewolucja! Oto przykład, jak wiele się zmienia w rzeczach, które pozornie są niezmiennie i niewzruszone.

Jedno się tylko nie zmienia, mianowicie to, że – jak w owym znanym określeniu prowadzenia wojny – trzeba tu pieniędzy, pieniędzy, i jeszcze pieniędzy; no i że zwykle znów zachodzi potrzeba... pomocy ludzkiej w przeprowadzeniu dowodu. Co innego fakty, a co innego udowodnienie ich. Czyż można wątpić, że *ad usum* procesu rozwodowego będą się mnożyć antydatowane listy do przyjaciółek? Czy można przypuszczać, że przyjaciółka będzie tak bez serca, aby, w razie potrzeby

(dziś tobie, jutro mnie), nie stwierdziła tego i owego przysięgą, zwłaszcza jeżeli na miejscu otrzyma rozgrzeszenie?...

Stosunki zatem dążą do pewnej ludzkości: wojewodzina Amelia z *Mazepy* mogłaby dziś otrzymać kościelne nieważnienie małżeństwa, przedstawivszy odpowiedni list do przyjaciółki, no i mogłaby nawet wyjść szczęśliwie za swego pasierba. O trzy trupy mniej; czysty zysk dla życia, strata dla teatru. Ale każdy też przyzna, że ma to i słabe strony. Opieranie tak poważnej, a coraz częstszej sprawy na formalistycy i fałszu, z drugiej zaś stwarzanie jaskrawej nierówności w prawach wobec sakramentu, nie jest ideałem. Bo nierówność ta akcentuje się dziś tym więcej przez większe zbliżenie i rozpowszechnienie sprawy: dawniej rozwód katolicki był rzadki, odbywał się przeważnie w tak wysokich sferach, że chudopachołkowi nie przyszło na myśl przymierzać go do siebie; obecnie rzecz układa się tak, że najbogatsi mogą zostać przy wierze ojców, średniaczki muszą zmienić wiarę (bo taniej i prędzej), a biedacy mogą sobie żyć „na wiarę”. Trzy klasy, jak na kolei żelaznej.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.